

[...] Pojęcie *katharsis* wywodzi się zazwyczaj od Pitagorasa, ale ten termin pojawił się o wiele wcześniej, u początków sztuki greckiej – w chorei, będącej zespoleniem tańca z muzyką i poezją. Pitagorejczycy wierzyli, że dusza więziona jest w ciele za swoje winy i będzie wyzwolona, gdy się z nich oczyści. To oczyszczenie uważali za „najwznioślejszy cel człowieka” i powzięli myśl, że jest ono możliwe dzięki muzyce. Jak pisze Arystoteles: „stosowali medycynę do oczyszczania ciała, a muzykę do oczyszczania dusz”.

To Arystoteles uczynił z *katharsis* tajemniczą zagadkę, którą pozostała do dzisiaj. Chodzi o to, czy miał on na myśli oczyszczenie uczuć, czy też oczyszczenie umysłu z uczuć. Inaczej mówiąc: wysublimowanie uczuć czy ich wyładowanie, by zdobyć spokój wewnętrzny? Ich ulepszenie czy też uwolnienie się od nich? Spierano się też, czy *katharsis* wywiódł Arystoteles z medycyny czy też z kultu religijnego. Niewątpliwie medyczne źródła były mu bliższe i wymieniając *katharsis* w *Polityce*, posługuje się terminologią lekarską w jej znaczeniu technicznym, tak jak posługiwali się nią Hipokrates i jego uczniowie.

Jeśliby odbić się od starożytnej Grecji i poszybować myślą w stronę współczesnej sztuki lekarskiej, to niechybnie wyładowujemy na terenie chirurgii. Podziw nasz wzbudzi wirtuozeria chirurga. A jeśli jeszcze do tego operując, słucha on muzyki, to Pitagoras jest tuż obok... Ołśnienie wzbudzi w nas także Wielki Lekarz, który trafną diagnozą rozstrzygnie losy chorego, wyleczy go ze skomplikowanej choroby, która wydawała się niezwykła.

Wielki Lekarz to rzadkość. Spotyka się ich niewielu w długim życiu zawodowym. Przywodzą na myśl ludzi obdarzonych słuchem absolutnym, którzy słyszą nuty, jak reszta z nas widzi kolory. Tak, jak każdy z nas bez wahania rozpozna kolor żółty lub czerwony, tak oni natychmiast rozpoznają dźwięk F lub G. Poruszają się swobodnie w przestrzeni tonalnej, dla innych niedostępnej.

Czas więc zapytać: Czymże jest sztuka? „Sztuka – odpowiada Julia Hartwig – jest zaklinalniem istnienia, żeby przetrwało”. Ta natchniona definicja sztuki, obejmuje też sztukę lekarską. Cały jednak kłopot z medycyną polega na tym, że ona sztuka już być nie chce. Medycyna chce by nauką. Więcej: dzisiaj mówi, iż jest nauką. I rzeczywiście – dla wyjaśnienia choroby sięga po techniki biologii molekularnej, a w terapii wypracowała specjalny model badawczy, którego nazwa mówi sama za siebie *evidence-based medicine* – medycyna oparta na dowodach.

Początków naukowości medycyny dopatrywać się można w czasach Renesansu. Wtedy to wielki anatom z Padwy, Andreas Vesalius, otworzył dla naszych oczu świat w nas zamknięty. Jego siedmiotomowe dzieło *De humani corporis fabrica* wzbudziło powszechny zachwyt wiedzą i ilustracjami anatomicznymi, które wykonali Tycjan i jego uczniowie.

Następcy Wesaliusza, całe ich pokolenia, wzmocniwszy oczy okularami mikroskopów, sięgali coraz dalej w głąb ciała. I szukali w jego narządach choroby. Tak zbudowano gmach anatomii – opisowej, patologicznej, sądowej – *theatrum anatomicum*, na scenie którego toczył się sąd ostateczny nad chorobą, sąd, od którego nie było odwołania. Taka była jeszcze anatomia, gdy zaczynałem studia, stanowiąc ostateczną weryfikację rozpoznania klinicznego. Ale z upływem lat, coraz szybciej ciężar końcowego rozpoznania zaczął przesunąć się gdzie indziej – w stronę biochemii i w końcu biologii molekularnej.

To dzięki biologii molekularnej wejście medycyny w nowe milenium było tak ośniewające. W pierwszych tygodniach zachynającego się tysiąclecia odczytano i ogłoszono cały zapis genetyczny człowieka. Nukleotyd za nukleotydem. Trzy miliardy liter. Ale już wcześniej w XX wieku dokonano rzeczy niebywałej – czas życia Europejczyka wydłużył się średnio z 46 lat do 70. 25 lat życia dodanych w jednym stuleciu.

A może i starość przestanie by nieunikniona? Komórki pobrane od płodu, sklonowane poza organizmem i właściwie zaprogramowane wytworzą nowe tkanki, a nawet całe narządy. Wstrzyknięte czynniki wzrostowe przestroją organizm w stan stałej odnowy. Będziemy wyłączać w embrionie gen starości, czyniąc go quasi-nieśmiertelnym. Nie wiemy jeszcze, kiedy takie techniki staną się dostępne i bezpieczne, ale są uczeni, którzy nie mają wątpliwości, że tak będzie. Chorobę i cierpienie wypieramy z naszej świadomości. Czy nieugaszona ciekawość i pasja Wesaliusza oraz jego następców, czy na trwałe wzniezione gmachy anatomii, fizjologii, mikrobiologii i farmakologii – sprawiły, że medycyna stała się nauką?

Nie – odpowiada [...] fizyk [...] Andrzej Białas. I rozwijając swój wywód przytacza słowa swojego wielkiego kolegi Ernesta Rutherforda: „Uczeni dzielą się na fizyków i zbieraczy znaczków”. Z perspektywy Rutherforda pytanie można więc sformułować: Czy medycyna ma szansę stać się kiedyś fizyką? Czyli określać ilościowo obserwowane zjawiska i dać precyzyjny, matematyczny obraz rzeczywistości. Nie znamy wszak żadnych praw o organizmie człowieka – w zdrowiu czy chorobie – które potrafilibyśmy zamknąć w równaniach matematyki. Czy lekarz próbuje zgadnąć matematyczną konstrukcję rzeczywistości fizycznej, ten pierwowzór świata, którego nie sposób wydedukować z obserwacji? Taka, powszechna w fizyce teoretycznej, zasada „identyfikacji” jest medycynie nieznana. Czyżby umiejętności lekarskie i matematyczne odpychały się, nie chciały się osiedlić pod jedną pokrywą czaszki? Raczej nie. To złożoność przedmiotu może być wytłumaczeniem.

Co ciekawe, medycyna stroi się w szaty nauki, ogłasza się nauką, podczas gdy nauki ściśle nie kryją wątpliwości co do swoich podstaw. Skuteczność logiki matematycznej zakwestionowana została przez twierdzenie Gödla. Fizycy snią sen o teorii ostatecznej, która scaliłaby dwa, nieprzystające do siebie, schizofrenicznie podzielone, rządzące się odrębnymi prawami, światy: świat mechaniki klasycznej – dokładny i geometryczny – oraz świat kwantów – niezdeterminowany i probabilistyczny.

Warto pamiętać o tym dziś, kiedy nauka przenika każdą dziedzinę życia człowieka, nie wyłączając życia duchowego. Łącznie z techniką stała się ona nową religią. Dopatrujemy się w niej źródła zarówno wyzwolenia, jak i zaspokożenia wszelkich dóbr materialnych. Z optymizmem oczekujemy od nauk medycznych wynalezienia lekarstwa przeciw śmierci. Naturalną kolejną rzeczą akceptujemy obejmowanie przez naukę obszarów moralności i etyki, a nawet jej interpretację sztuki.

Nauka nie potrafi jednak dać odpowiedzi na pytanie zachynające się od „Dlaczego?” lub „Po co?”. Może dać tylko odpowiedzi na pytania zachynające się od „Jak?”. Zanim więc zgodzimy się uznać naukę za współczesną religię, zanim jednym tchem obciążymy ją winą za nasze rozmaite bolączki i niepowodzenia, uprzytomnijmy sobie nie tylko jej potęgę, ale też granice naukowego poznania. Ich wytyczenie nie za zawsze musi być proste, ale one istnieją. Za nimi trwają światy niedostępne nauce, światy wartości, sztuki, wiary, zjawisk jednostkowych, indywidualnych.

O tym, iż nauka jest tylko jednym ze sposobów poznania rzeczywistości, wiedział Platon. I gdy docierał do kręgu poznania naukowego, sięgał po poezję, by przekroczyć granicę, przed którą musiał cofnąć się rozum. Skrzydlate metafory unosiły go w dal, otwierały prawdy dla rozumu zamknięte. Skrzydlate metafory...

Lecz czymże – zapytajmy na koniec – jest prawda? „Prawda jest ruchomą armią metafor” – odpowiada Fryderyk Nietzsche. Jeśli ta prawda o prawdzie jest prawdziwa, wówczas krąg się domyka, sztuka spotyka się z nauką i lekarz znajduje swoje miejsce w tym złączeniu.

Andrzej Szczeklik

21 czerwca 2002

„Symbioza sztuki z nauką w medycynie”

Wykład po otrzymaniu doktoratu honorowego  
Akademii Medycznej w Warszawie (obecnie WUM)  
(fragmenty)